Solówka, hamak i zrypa od Gryllsa

Po zdobyciu z Michałem rano Biskupiej Kopy i po imprezie urodzinowej chrześnicy jadę z powrotem w Góry Opawskie. O 18-tej jestem znów w Czechach, przebieram buty, zarzucam plecak na plecy i ruszam w trasę. Cele: a) przetestować kolano, które znów się odezwało, kiedy schodziliśmy ostatnio ze Śnieżnika, b) przetestować wydolność po wielomiesięcznym bezwysiłkowym letargu i po odbytej 3 tygodnie temu operacji FESS, c) przetestować hamak, d) przetestować orientację w terenie oraz e) przetestować syna w sytuacji, kiedy to pierwszy raz został na noc sam u cioci (lub też przetestować, jak sobie w tej sytuacji poradzi ciocia).

Trasa, którą wybrałem wynosiła około 30km długości, a na jej pokonanie miałem jedynie wieczór i poranek. Po drodze zaplanowałem nocleg w hamaku, czego jeszcze nigdy wcześniej nie doświadczyłem.

Start – Ondrejovice

Szlak prowadzi w kierunku miejscowości Rejviz. Gdzieś zaraz za Ondrejovicami odbija nieco od asfaltu, jednak przeoczyłem to zejście. Po krótkim czasie decyduję się jednak wejść na grzbiet „na strzałkę". Wydaje mi się nawet, że widzę na drzewie z daleka zielony znak. Rzeczywiście szybko natrafiam na właściwy szlak i tak jak za pierwszym razem tak i później okaże się, że intuicja mnie na tym wyjeździe nie zawiedzie. W tym miejscu przypomina mi się kolano. Boję się, że przekreśli ono cały plan. Wymyślam sobie teorię, że to tkwi jedynie w mojej głowie i muszę przestać o tym myśleć. Wyciągam stary odtwarzacz mp3, który spędził ostatnie lata w kartoniku w piwnicy. Zgodnie z poleceniem Schillera odprężam się i wraz z zaproszonymi wokalistami (szczególnie miło wspominam Moya Brennan) daję się zabrać w wyjątkową podróż.

Pierwszy wiatrołom

Niedaleko Rejviz wchodzę w wiatrołom. Duże pole, które wcześniej było lasem, a teraz jest wyścielane powyrywanymi drzewami. Nie sposób odnaleźć tu oznaczeń szlaku. Przechodzę na wyczucie na drugą stronę, jednak trochę zbaczam z obranego kierunku z powodu płotu. Szlaku nie znalazłem ale w orientacji pomaga zachodzące słońce więc odbijam we właściwym kierunku. Przez kolejny kilometr idę przez las bez żadnej drogi. Wychodzę na pole i po jego przecięciu jestem między domami w Rejviz, czyli znów na właściwej trasie. Po kilkuset metrach odbijam żółtym szlakiem na południe.

Ciemność widzę

W ostatnich promieniach słońca obserwuję panoramę i zaczyna się robić naprawdę ciekawie. Widoczne odległe wzgórza i grzbiety są na mojej trasie… na dziś! Największe wyzwanie to czuję, że nastąpi teraz na żółtym szlaku. Gdzieś tam mam odbić z żółtego na zielony. Po pierwsze będzie już zupełnie ciemno, po drugie moja mapa akurat tego obszaru nie obejmuje, no a po trzecie będzie to za ok. 6,5km, czyli jest to dystans, na którym ciężko utrzymać 100% skupienia. Aha i po czwarte – nie zabrałem kompasu. Z początku gnam jeszcze bez czołówki, dzięki resztkom światła mogę podziwiać wyjątkowy szlak. Prowadzi on przez soczyście zielony, wilgotny i porośnięty mchem las. To jedno z tych poznanych podczas tego marszu miejsc, które wydają się pochodzić z bajki. W ciemnym lesie powyżej zapalam czołówkę. Z mroku wychwytuję niewielkie znaczki namalowane na drzewach.

Hobbit

Skrzyżowanie z zielonym ciężko byłoby przeoczyć. Wchodzę na ostatni 4 kilometrowy odcinek i już wiem, że jestem w domu. Niepokoi nieco fakt, że od dłuższego czasu znajduję się na wysokości powyżej 900 m n.p.m. i z tej wysokości już dziś nie zejdę. Szlak momentami jest pokryty lodem a po bokach zalegają śnieżne zaspy. Nie przypomina to zbytnio tropikalnego klimatu

i nie jestem pewien, czy decyzja o spaniu w hamaku była przemyślana. Ale póki co muszę maszerować, a trudności jak się okazało się spiętrzyły – w postaci drzew. Wychodzę na obszar pokryty powyrywanymi z korzeniami potężnymi sosnami. Próbuję utrzymać kierunek więc przechodzę pod jednym wielkim pniem, dochodzę do kolejnych, których nie sposób pokonać. Z jednej strony potężne korzenie, tworzące z ziemią parokrotnie ode mnie wyższą zaporę. Z drugiej strony połączone korony – również nie do przejścia. Przypomina mi się historia o hobbitach. Czuję się malutki w niezwykłym, baśniowym świecie. Decyzję podejmuję taką, że wracam do początku i obchodzę wiatrołom dookoła. Gdy dochodzę do lasu po przeciwnej stronie szczęśliwie odnajduję znaki na drzewach i dalej podążam zielonym szlakiem. Podczas tej przygody ściągnąłem słuchawki (onieśmielony tym co widziałem i czułem) i teraz zakładam je z powrotem. Na jednej nie ma gumki! Przyjmuję na pewniaka, że musiała spaść przed chwilą. Schylam się i na podkurczonych nogach idę lasem i w świetle czołówki szukam czarnej gumki wielkości ziarenka kukurydzy. Po kilku metrach o dziwo ją znajduję.

Ruiny

Od przejścia wiatrołomu jestem jak w jakimś transie. Na dodatek teraz dochodzę do innego klimatycznego miejsca – ruin zamku Kobrstejn. Tu chcę przenocować. Jest świetne miejsce na ognisko. W pierwszej chwili pomyślałem, że dobrze by było się rozgrzać ale nie zabrałem zapałek. Za to są skały, są przepaście, jest odlot. Patrzę na czarne wzgórza, lasy i światła okolicznych miejscowości. Świecę w dół a tam pionowe urwisko. Myślałem do tej pory, że stoję w najwyższym miejscu, ale przeczytałem o 9-metrowej wieży więc się rozglądam i… nade mną widzę skalną budowlę. Uczucie przytłaczające, ciemna noc potęguje wrażenie. Czuję coś jakby strach, jednocześnie cieszę się, że tu jestem.

Nocleg i szkoła przetrwania

Tuż obok ruin szukam odpowiednich drzew (w lesie jest ich sporo – ot, taka odkrywcza myśl) i rozkładam hamak. Idzie mi to topornie. Jeden rep za długi a taśma trochę za krótka. Mógłbym przyciąć jedno i dowiązać do drugiego ale nie zabrałem noża. I to by było tyle, jeśli chodzi o moje przygotowanie do survivalu. Przed oczami mam twarz Bear Gryllsa patrzącego na mnie z okładki książki „Szkoła przetrwania". Wyruszyłem w długą trasę z noclegiem w lesie i nie zabrałem a) komapsu, b) zapałek, c) noża. Mam za to odtwarzacz mp3 oraz banana.
Wracając do hamaku – rozłożyłem go na stromym zboczu z wejściem od strony spadku, czyli bez sensu. W pierwszej chwili chcę tak to zostawić, ale wyobraziłem sobie, jak idę na drugi dzień 15 km ze złamanym obojczykiem. Szybko znalazłem lepsze miejsce i położyłem się spać.

Poranek

Muszę przyznać, że się całkiem dobrze wyspałem i widzę wiele zalet w spaniu w hamaku. Jest lekki, szybko się rozkłada, składa, łatwo znaleźć odpowiednie miejsce i nie trzeba szukać płaskiego kawałka ziemi. Ma jednak niewątpliwie jedną wadę: od spodu jest zimno. Może znajdę na to jakiś patent a może wystarczyło zabrać puchowy śpiwór. Jednak wydaje mi się, że śpiwór niewiele by pomógł, bo i tak byłby od spodu zgnieciony, czyli bez izolacji. Zwijam biwak w kulkę i wrzucam do plecaka. Jeszcze obejrzę ruiny o poranku i o 6-tej ruszam na szlak.

Powrót

Kolejne 15km, jakie zostało mi do pokonania to mieszanka pięknych widoków, szlaków i wspomnień, bo wkrótce dochodzę do znajomej części szlaku. Byłem tam co najmniej dwukrotnie i to również zimą, kiedy zdobywałem Pricny Vrh. Za pierwszym razem podczas ekspresowej Zimowej Korony Sudetów. Za drugim zaś razem, kiedy to zrobiłem sobie w tamtej okolicy podobną samotną wyrypę. Było to dokładnie w tym samym czasie, ale warunki jakże skrajnie odmienne! Wtedy (6-go kwietnia)

torowałem w głębokim śniegu a dziś (8-go kwietnia) idę w warunkach niemal letnich.

Podsumowanie

Dzień pierwszy to przebyte ponad 16km w zaledwie 3h z paroma minutami. Dzień drugi to nieco ponad 15km w 3h i 10 minut. Jeśli chodzi o przewyższenie to całość wynosiła około 1150mH w górę i podobnie w dół. Kolano się odzywało, ale ewidentnie jest lepiej. Setki powtórzeń w przysiadach na piłce prawdopodobnie dają efekt. No i drożność w obydwóch dziurkach w nosie taka, że jak spałem to się igliwie podnosiło pod hamakiem do góry.

Pozdrawiam
Dziku Maniak

ps. Bear Grylls jak to przeczyta to poczyni wpis na Twitterze: „Dziku, mi jest po prostu tak po ludzku przykro”.